

Nadchodzi zmiana (wspomnienia z Kołomy) Kazimierza Żurawieckiego

Jakub Ryba (oprac.)

WYDZIAŁ HISTORII I DZIEDZICTWA
KULTUROWEGO
UNIwersytet PAPIESKI JANA PAWŁA II
W KRAKOWIE

ABSTRACT

A Change Is Coming (Memories from Kolyma) by Kazimierz Żurawiecki

This is a second part of article (first was published in “Textus et Studia”, no 1(5)/2016) concerning memories written by Kazimierz Żurawiecki. The book entitled *A Change Is Coming. Memories of Kolyma* gives an account about his stay in Kolyma camps. The form that the author gave to his work is quite unique. Kazimierz Żurawiecki by his own hands drew up the book and worked it out with unusual care. The text is divided into nine chapters, each of them is followed by annotations to numerous words and expressions in Russian. Everything is concluded by a table of contents. The book is amply illustrated with drawings. K. Żurawiecki had submitted before, anonymously, his reports to the Office of Documents of 2nd Corps. These reports might have been an inspiration for Żurawiecki to write down his own memories in such a form. Kazimierz Zamorski and Stanisław Starzewski invoked Żurawiecki's records in the book *Sprawiedliwość sowiecka*, Władysław Anders in his memories *Bez ostatniego rozdziału* and Małgorzata Giżejewska in her work *Polacy na Kolumie 1940–1943*. K. Żurawiecki limited the scope of his memories solely to the report of his stay in Kolyma, completely leaving aside the period of his arrest, investigation and transport to Nachodka. His records include valuable historical material, which is fully compliant with the factography

known from other sources and studies. Many plots described by Żurawiecki appear also in the reports of other prisoners of Kolyma camps.

KEY WORDS: Soviet labor camps, Soviet labor camps in Kolyma, Poles in labor camps in Kolyma, Sikorski–Majski agreement, Anders' Army

SŁOWA KLUCZOWE: sowieckie obozy pracy, sowieckie obozy pracy na Kółymie, Polacy w sowieckich obozach pracy na Kółymie, układ Sikorski–Majski, armia Andersa

Kazimierz Żurawiecki
Nadchodzi zmiana
(wspomnienia z Kołomy)

Włochy 1945
Żonie mojej Irce pracę tę poświęcam
M. p.¹ 5.6.1941 K. Żurawiecki

Motto: *Priwykniesz;*
– *nie priwykniesz,*
*padochniesz...*²

(NKWD)³

Okręt widmo

Gdy nas dowieziono na molo w Nachodce⁴ – nie wiedzieliśmy, że na pokładzie „Mińska”⁵ są już inni pasażerowie. Byli nimi mieszkańcy osławionej piątej zony⁶. Nasza dotychczasowa obojętność i rezygnacja rychło przerodziły się w obawę, gdy po stromych drabinach zaczęto nas wpychać do ciemnych i dusznych *triunów*⁷ dolnego pokładu. Wewnątrz *triunów* zabudowanych półkami na wzór jakiegoś magazynu panował ścisł nie do opisania. Półki, zwane pospolicie narami, za-[s. 1]jęli już wcześniej nasi poprzednicy; trzeba było trzymać się razem i lokować byle gdzie, stojąc, gdyż o leżeniu czy siedzeniu nie było mowy.

Wraz z Romanem⁸ znalazłem się w wąskim przejściu, między narami a rurą wentylatora. Iść dalej było niepodobieństwem. Złożywszy tobołki nasze pod nogami, staliśmy tak szereg godzin. Zaduch był coraz silniejszy; każdy walczył, jak mógł o powietrze. Z czasem udało się nam zająć pozycję półprzysiadu, przy pomocy tobołków.

Trwaliśmy tak godziny całe, drzemiąc mimo hałasu i gwaru. Wreszcie okręt zakołysał się; krótki chrapliwy głos syreny upewnił nas, że ruszyliśmy w nieznaną.

W kilka chwil później, jakby na dany znak, zaczęli nam składać swe wizyty mieszkańcy [s. 2] górnych pięter,

1 Miejsce postoju.

2 Motto: Przyzwyczaisz się, nie przyzwyczaisz się – zdechniesz...

3 Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych – ówczesna nazwa sowieckiej służby bezpieczeństwa.

4 Port w azjatyckiej części Rosji, nad Morzem Japońskim, w pobliżu Władywostoku.

5 Jeden ze statków więziennej floty Dalstroju.

6 Teren obozu lub jego wydzielona część. Autor tłumaczy ten termin jako ‘oddział’.

7 Popr. *trium* – ‘ładownia’, błędnie tłumaczona przez autora jako ‘przegroda’.

8 Osoba niezidentyfikowana.

- 9 Kryminaliści.
10 Lampka naftowa lub na oliwę.
11 Zob. przyp. nr 9.
12 Gra karciana, inaczej zwana 21.
13 Kolejka.
14 Ustęp.
15 Wyspa na Oceanie Spokojnym, u wybrzeży Rosji.
16 Morze w północno-zachodniej części Oceanu Spokojnego; nad Morzem Ochockim leżą m.in. Władywostok i Magadan.

żulicy⁹. W ciemnościach rozległy się krzyki, płacz, przekleństwa.

– Rabują, mordują, ratunku!

Żulicy brali wszystko, co im się podobało; zdejmowali buty z nóg, bieliznę z ciała, wytrząsali resztki machorki z kieszeni. Opornych bili i kałeczyli nożami. Strażnicy stojący u góry *triunów* zachowywali się obojętnie.

W ciągu kilku godzin było po wszystkim. Zapanował względny spokój, tylko na górnych półkach odbywał się, z towarzyszeniem przekleństw, podział łupów. Tam też zabłysło światło *kopcilki*¹⁰. Starszyzna *żulio*¹¹ grała w oczko¹² o chusteczki do nosa, chleb i machorkę.

I tak, powoli, porządek zaistniał w ciemnym *triunie*; już nawet *oczeredź*¹³ jakaś ufor[s. 3]mowała się z kilkuset ludzi. Pytamy, co dają.

– G...o – brzmiała odpowiedź.

Była to w rzeczywistości kolejka do *ubornej*¹⁴, mieszczącej się na górnym pokładzie. Aby się tam dostać, należało stać w kolejce kilka długich godzin. Tymczasem smród w *triunie* był coraz większy, gdyż starszyzna leżąca na górnych narach nie fatygowała się do kolejki.

Już w pierwszym dniu podróży mieszkańcy parteru znaleźli się w warunkach, wobec których atmosferę chlewni porównać by można z świeżym powiewem wiosny. Nic więc dziwnego, że kolejka stale rosła; kilkugodzinne stanie w *oczeredzi* opłacało się. Osłabieni ludzie padali ze znużenia i bólu, ale czekali wytrwale, niesieni prądem fali ludzkiej, [by] w pewnym mo-[s. 4]mencie znaleźć się na otwartym pokładzie [i] zaczerpnąć świeżego powietrza. Poza tym była to jedyna okazja ujżenia japońskiego Sachalinu¹⁵ i Morza Ochockiego¹⁶.

Morze było przez cały czas podróży burzliwe, a fale zasłaniały często zamglony horyzont. Kołysanie się „Mińska” nie powodowało choroby morskiej, gdyż żołądki 7000 więźniów były puste. Otrzymywana co kilka dni garść sucharów i nędzna zupa dostawały się przeważnie na górne nary; mieszkańcy parteru musieli obchodzić się smakiem i modlitwą. O wodę morską, nieznacznie

odsoloną, a dostarczaną w znikomej ilości, należało stoczyć walkę.

Po kilku próbach zdobycia posiłku i wody doszliśmy do przekonania, że jedynym w tej sytu[s. 5]acji posiłkiem dla ciała jest sen. Spaliśmy z Romanem często, a budząc się, opowiadaliśmy sobie swoje sny.

Przez 7 dni wiózł „Mińsk” nowy żer dla wiecznie głodnej Kołomy. Przez 7 dni patrzyła zdziwiona zorza polarna poprzez mgły „Ochockiego” na rzadkie w tych stronach zjawisko, samotnie płynący okręt widmo.[s. 6]

Buchta Nagajewa¹⁷

Wyszliśmy, tłocząc się jak stado baranów, na pokład „Mińska”. Oczy odwykłe od światła przymknęły się same, jakby na przekór pokusie oglądania jasności dnia. Dziwne zresztą było to światło; gęsta mgła zalegająca morze panowała i tutaj, w zatoce.

Straciwszy rachubę czasu wskutek długiego przebywania w ciemnym wnętrzu okrętu widma, po wyjściu na ląd nie wiedzieliśmy, czy jest wczesny ranek, czy późny wieczór. Była to noc, lecz noc inna niż nasza – biała noc Kołomy.[s. 7]

Ustawiono nas piątkami, by za chwilę ruszyć dalej. Dziwiliśmy się początkowo, że nie kazano nam siadać w kucki, jak dawnej; tym razem zamiast stereotypowego *sadis*¹⁸ usłyszeliśmy *dawajcie*¹⁹, co oznacza, mniej więcej, „marsz”. Zrozumieliśmy później, że niektóre stosowane dotychczas środki ostrożności w stosunku do nas są tutaj zbyteczne; znajdowaliśmy się na dalekiej północy, oddalonej o 17 tysięcy kilometrów od granic Polski. Stąpaliśmy po ziemi zwanej w pieśniach więźniów daleką i straszną Kołomą. Byliśmy w białej krainie Anhellego²⁰.

Makabryczny korowód, złożony z Uzbeków, Kirgizów, Tadżyków, Turkmenów, Kazachów, Gruzinów²¹ i innych kolorowych przedstawicieli Azji oraz białych Europejczyków, posuwał się wol-[s. 8]no, obojętnie przez port. Wśród tego zbiorowiska ludzi przybranych

17 Buchta – zatoka. Nazwa ta występuje też w wersji Buchta Nagajewo. Osada założona w 1930 r., od 1939 r. Magadan. Pierwotna nazwa od nazwiska admirała Katarzyny II, który dotarł tu w połowie XVIII w. i sporządził pierwszą mapę wybrzeży Morza Ochockiego.

18 Siadać!

19 Ruszać!

20 Odwołanie do poematu Juliusza Słowackiego *Anhelli*, stylizowanego na biblijną przypowieść, którego bohater o imieniu Anhelli przemierza Syberię – „białe piekło” polskich zesłańców.

21 Narodowości z południowych republik ZSRR; więźniowie pochodzący stamtąd wymierali szczególnie szybko w zabójczym dla nich klimacie Kołomy.

22 Watowana kurtka, waciak.

23 Uwaga!

24 Słabi, wąpli.

25 Hydroplany, wodnosamoloty; samoloty mogące startować i lądować w wodzie.

26 Dosł. 'żołnierz, szeregowy', tu: 'strażnik', termin często używany wymiennie ze *strielok* – dosł. 'strzelec'.

27 Wieża strażnicza.

w fantastyczne strzępy fufajek²², worków z pokrzywy i starych kołder z waty wyróżniała się grupa „cywilnych”; niektórzy z nich mieli na sobie nawet futra i nowe ubrania.

Zresztą nie po stroju tylko można było poznać w nich Polaków; gdy inni szli z opuszczonymi głowami – ci rozglądali się ciekawie, chcąc jakby zapamiętać drogę. Wśród nich, mimo zakazu, toczyła się rozmowa; ten i ów szeptał modlitwę, tamten kłął z cicha „nowe m. p.” i jego gospodarzy, inni mimo głodu i zmęczenia próbowali nawet dowcipów na temat „interesującej wycieczki”.

Widok z portu w stronę lądu robił wrażenie przygnębiające. Na stromym urwisku pracowali więźniowie, odrywając z niego raz po raz du-[s. 9]że kamienie i strącając je w dół. Na dole czekali inni, by kamieniami załadować wózki, które inni ciągnęli i pchali po szynach gdzieś do portu. Przy każdorazowym staczaniu się kamieni rozlegał się okrzyk *bieriegis!*²³ i ci na dole kryli się, gdzie kto mógł i umiał, by kamieniem nie dostać po łbie.

Od Uzbeka Karimbierdiejewa dowiedzieliśmy się, że pracują tu *slabosilmi*²⁴, bo jest to praca najłżejsza, a klimat w porcie łagodny. Przyszłość dowiodła słuszności słów Uzbeka.

Szliśmy wzdłuż wybrzeża, mając o 100 metrów w lewo ośnieżone, zasłaniające widok skały, w prawo – spowitą we mgle, ponurą zatokę ze stacją wodnopłatów²⁵. Na chłód nie mogliśmy się skarżyć, wszak był to czerwiec, mimo że i na drodze tu i ówdzie leżał śnieg. Była zresztą odwilż, a później na-[s. 10]wet mgła zamieniła się w deszcz. Brud i robactwo sprawiły, że niektórzy, będąc u kresu sił, siadali na drodze. W większości wypadków osłabienie ustępowało pod razami kolby *bojca*²⁶ i więźniów szedł dalej.

Po kilkugodzinnym marszu ukazały się za wzgórzem „bociany”²⁷, świadczące, że zbliżamy się do obozu. Dalej widać było całe drewniane miasto baraków oraz dwa maszty radiostacji. Byliśmy „u siebie”.

Nie od razu umieszczono nas pod dachem. Przez szereg dni i nocy obozowaliśmy pod gołym niebem, na

błotnistym dziedzińcu otoczonym barakami, zamieszkałymi przez *zakriepionych*²⁸, tj. stałych mieszkańców obozu w Magadanie. Z dziedzińca widać było tylko *wyszkę*²⁹ [s. 11] z budką strażnika i owe dwa maszty radiostacji na tle ośnieżonej góry. Przyzwyczailiśmy się z czasem do nowego trybu życia. Nikt nie przywiązywał zbytnej wagi do przyjemności w rodzaju jedzenia owsianej *balandy*³⁰, równocześnie po dziesięciu, z jednej blaszanej miski, zwanej tadżykiem. Zupełnie naturalnym wydawało się nam nawoływanie *bojca* po jedzeniu: *atdaj łóżku, a to nie pałuczisz sielodki*³¹. Nawet *uborna*, zasilająca swym odpływem dziedziniec, wydawała się nam tylko złem koniecznym. Wszystko to jednak miało swój cel,znaczony przez kierownictwo obozu: odrzec życie z piękna, a ludziom odebrać wszelką nadzieję na poprawę losu. W stosunku do nas metoda ta dawała rezultat minimalny. Dziwił się tej naszej naturze mój [s. 12] towarzysz Karimbierdijew; dziwił się nie mniej cały obóz. Słowo „pan”, wymawiane z pogardą, jakże wymownie świadczyło o poczuciu niższości w stosunku do Polaka!

Dla zobrazowania całokształtu stosunków na „prześciówce”³² w Magadanie³³ należałoby napisać dużo więcej, lecz czy warto opowiadać rzeczy niepodobne do wiary?

Szereg baraków zamieszkały był przez ludzi bez rąk i nóg. Spośród nich ci, którzy mieli ręce, pracowali; sami maszerowali – o ile pełzanie można nazwać marszem – po posiłek i do *bani*³⁴. Wszyscy zawdzięczali swe kalectwo Kołymie. Najstraszniejsze to, że te strzępy ludzkie pogodziły się już dawno ze swym losem. Nie narzekają na sprawców swego nieszczęścia. Go-[s. 13]dzinami całymi potrafią się sprzeczać o to, w jakim obozie jest lepiej, a w jakim gorzej. Poza tym ludzie to dobrzy, zbratani ze sobą i współczujący.

Nie wszystkich jednak cechuje zdziecinnienie umysłu. Niejeden z nich służył nam dobrą radą. Od nich to dowiedzieliśmy się, jaki los nas czeka. Stary inżynier Uszakow pouczał nas jak ojciec, jak mamy postępować,

28 Dosł. ‘przypisani, przydzieleni’.

29 Wieża strażnicza, „bocian”.

30 Zupa obozowa.

31 Oddaj łyżkę, bo nie dostaniesz śledzia.

32 Więzienie lub obóz tranzytowy (przejściowy).

33 Port nad Morzem Ochockim (zob. Buchta Nagajewa), główny ośrodek Kołymy.

34 Łażnia.

35 Góra pochodzenia wulkanicznego, charakterystyczna dla krajobrazu Kołomy. „Odejść za *sopku*” – ‘umrzeć’.

36 Skrajnie wycieńczony więzień, odpowiednik „muzułmanina” w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

37 Fragment psalmu 91 („Kto się w opiekę”) w tłum. J. Kochanowskiego.

38 Statek więziennie-towarowy kursujący między łądem a Kołymą, na trasie Władywostok–Magadan.

39 Zob. przyp. nr 38.

40 Więźniowie używani do wykonywania najcięższych prac fizycznych.

aby utrzymać się przy życiu w kopalniach złota, wolframu i ołowiu.

Karimbierdijew miał rację. Jeden raz w roku, gdy odtaje lód w Buchcie Nagajewa, przyplływają na Kołymę okręty załadowane ludźmi mającymi złuzować tych, co odeszli za *sopku*³⁵ lub do gromady *dochodiagów*³⁶ w Magadan. Jeden jedyny raz odplłynęły okręty za-[s. 14] ładowane ludźmi, z Magadanu na południe. O, jak potężne jest ramię Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, ramię sięgające aż tu po swych obywateli! Na powracających jesienią 1941 roku więźniach polskich z Kołomy sprawdzili się słowa psalmisty Pańskiego: „On ciebie z łowczych obieży wyzuje...”³⁷. Jeden okręt zwał się „Dżurma”³⁸. A drugi okręt – „Dalstroj” [s. 15]³⁹.

Kołyma

Spędzani kijami, budziliśmy się niezliczoną ilość razy, by stać i nasłuchiwać, czy z *wyszki* nie padnie czyjeś nazwisko. Wywołany winien był zgłosić się natychmiast, po czym odchodził z transportem w głąb ładu. Do kopalni nie śpieszno było nikomu, więc więźniowie, w myśl wskazań starych wygów obozowych, stosowali metodę nieprzyznawania się do nazwisk. W następstwie tego uszczuplono nam rację owsianki i chleba. Mniej wytrwali na głód zgłaszali się stopniowo wcześniej i odjeżdżali samochodami na północ. [s. 16] Pozostałych łatwiej już zidentyfikowano i również wywieziono. Sposób ten doprowadził do jak najdokładniejszego wymieszania masy ludzkiej. W grupie 50 wywożonych jednym samochodem rzadko kiedy znalazło się kilku tej samej narodowości, a tym mniej kolegów. W mojej pięćdziesiątce byli Francuzi, Niemcy, Finowie, Chińczycy, Uzbegy, Gruzini, Ormianie, Żydzi, Tatarzy, Kazachowie, Ukraińcy i inni; najmniej Rosjan rdzennych; Polaków trzech.

Zakwalifikowane do kopalń *rabotiagi*⁴⁰ maszerują teraz do *bani*, stanowiącej jedynie pretekst do zabrania więźniowi resztek mienia, które pieczołowicie strzegł

przed żulikami oraz niósł aż tutaj na własnych plecach. Odarty do naga, po kąpeli otrzymuje *łagiernuju adio* [s. 17]żu⁴¹, przebiera się szybko i odjeżdża samochodem.

Obok *bani* widać z daleka dużą stertę rozmaitych części ubrania i pościeli. Rzucają się na nią hieny w niebieskich czapkach⁴², walcząc niejednokrotnie ze sobą o lepsze *briuki*⁴³, *polskije sapagi*⁴⁴ lub *miło*⁴⁵. Zachłanny wzrok hieny przebiega obojętnie po monogramie imienia żony lub dziecka wyhaftowanym na poszewce jaśka lub chusteczki do nosa. Sterta najdroższych pamiątek odebranych skazańcom maleje w ich oczach. Jakże miłą towarzyszką doli i niedoli będzie uratowana z tej grabieży fajka z ukrytą w cybuszku igłą wyrzewaną z kości w więzieniu we Lwowie! Jakąż świętość przedstawiać będzie obecnie mały medalik, pamiątka[s. 18] od żony, przemycony w dziurze po wybitym zębie trzonowym!

Kołyma nie posiada dróg kolejowych. Jedyne połączenie wnętrza łądu z morzem to szosa kołowa wybudowana w dolinie rzeki tej samej nazwy. Szosa ta – dzieło rąk więźniów – utrzymana we względnie dobrym stanie, nadaje się do użytku tylko w porze letniej. Co kilkaset kilometrów urządzono stacje naprawcze i magazyny zapasujące samochody w benzynę, a ludzi w żywność. Od tej arterii dostać [się] do któregoś z obozów można tylko ciągnikiem gąsienicowym lub pieszo. Tę drugą metodę stosuje się zawsze, gdy chodzi o więźniów. Po przyjemnościach podróży samochodem sposobem sardyńkowym – po pięćdziesiąt osób na wozie – czekają następne: marsz pie-[s. 19]szy do odległego o kilkadziesiąt kilometrów obozu poprzez dziewiczy teren lasu modrzewiowego, pozbawiony ścieżek, bo uczęszczany tylko raz w roku przez ludzi pieszych, a podszyty bujnym mchem, sięgającym do kolan i pasa. Rzeki przebywa się w bród. Ziemia ta do roku 1926 była nietknięta stopą człowieka⁴⁶, nic też dziwnego, że poza obozami przymusowej pracy żadnych osiedli ludzkich się nie spotyka. Ren, odmiana niedźwiedzia brunatnego, duża popielata wiewiórka i pliszka,

41 Popr. *łagiernaja odieżda* – ‘odzież łagiernika’.

42 Kolor czapek funkcjonariuszy NKWD.

43 Spodnie.

44 Polskie buty.

45 Popr. *myło* – ‘mydło’.

46 W rzeczywistości obszar ten zamieszkiwały koczownicze plemiona Jakutów, Ewenków i Czuczców, a rosyjskie oddziały wojskowe docierały tu już w pierwszej połowie XVII w. Polski zesłaniec Jan Czernski zbadał dorzecze Kołymy, zmarł tu i został pochowany w 1892 r. W 1926 r. rząd sowiecki zorganizował pierwszą ekspedycję geologiczną w rejon górnego biegu Kołymy i Indygiryki. Wtedy jedno z pasm górskich nazwano Górą Czernskiego – zob. M. Giżejewska, *Polacy na Kołymie 1940–1943*, Warszawa 1997, s. 22 i 36.

47 Osada na Kołymie, ok. 300 km od Magadanu, nad rzeką Orotukan, dopływem Kołymy. Od 1935 r. ośrodek Zarządu Południowego Dalstroju.

48 Żurawina.

zupełnie podobna do naszej – oto jedyni mieszkańcy tych stron.

Droga do Orotukanu⁴⁷ dla sytego i dobrze odzianego turysty nastęczyłaby wiele wcale przyjemnych wrażeń. Krajobraz górski, zalesiony gatunkiem karłowatego modrzewia i od-[s. 20]mianą cedrów niskopiennych. Ziarna szyszek cedrowych dostarczają pożywienia wiewiórkom, sprzedawane są także po wysokich cenach, jako przy-smak, na bazarze w Magadanie.

Góry, średnio 2500 m wysokie, o charakterze skali-stym, w środkowych partiach porośnięte mchem i ol-brzymią ilością jagód *klukwy*⁴⁸, w górnych zupełnie nagie, czarne lub białe od śniegu.

Niezapomniane wrażenie pozostawiają po sobie wi-doki zachodu słońca, które o tej porze roku kryje się za widnokrąg na kilkanaście minut przed północą, by po niespełna godzinie wypłynąć znowu. Na tle granatowego nieba widać wtedy na wschodzie lśniące wszystkimi bar-wami tęczy, ośnieżone szczyty; zachód płonie światłem krwistoczerwonym, ukazując [s. 21]czasem zdumionym oczom człowieka dwie lub nawet trzy tarcze słoneczne. W południe słońce ukazuje się w innej szacie; dokoła siebie posiada duży, wyraźny krąg kolisty, biały, podobny nieco do lisiej czapy naszego księżyca, lecz o dużo większej średnicy.

Za Orotukanem krajobraz inny. Zamiast lasów zdo-bią podnóża gór dziwaczne kształty spalonych pni modrzewiowych. Każdego roku, w połowie sierpnia przez Kołymę zaczyna płynąć dym zasłaniający słońce do tego stopnia, że powstaje zmrok, a temperatura gwałtownie się obniża. Dym gryzie oczy, wypełniając wszystkie doliny.

Płoną lasy. Na pogorzeliśkach pozostają tylko owe charakterystyczne, czarne kikuty pni modrzewiowych. Ponure to cmentarzys-[s. 22]ko ciągnie się setkami ki-lometrów.

Dalej, jak okiem sięgnąć, widać jakieś ciekawe kształty symetrycznie usypanych kopców kilkunasto- i kil-kudziesięciometrowej wysokości. Jest ich coraz więcej,

a wreszcie stają się typowe dla krajobrazu. To ziemia przesypana rękoma ludzi z miejsca na miejsce. Jest to tzw. warstwa jałowa, pod którą leżała cienka warstwa złotodajna. Im dalej w głąb lasu, tym więcej kopców i wreszcie dziwne jakieś rusztowania z okrągłaków modrzewiowych, sięgające wysokości kilku pięter. To płuczki. Widać i ludzi zajętych pracą. Jedni kopią ziemię i odwożą ją taczkami, usypując nowe kopce, inni pchają taczki po wąskich kładkach w górę i wysypują zawartość do skrzyń; stąd [s. 23] transporterem pasowym wędruje ziemia do obracających się z hukiem bębnow, z których w dół spada woda z lawiną kamieni. Minęliśmy kopalnię złota.

Dalej widać inne płuczki. Długość ich jest rozmaita; niektóre ciągną się na przestrzeni kilkuset m[etrów]. Na widocznych miejscach, u góry rusztowania, zawieszono olbrzymie transparenty z hasłami nawołującymi do kultu bożka pracy – pracy ponad siły, aż do oddania ostatniego tchu z piersi. W ten sposób zbezczeszczone szczytne pojęcie pracy jako szczęścia ludzi żyjących. Z treści napisów widać, że na pierwszym miejscu postawiono interes partii i państwa, pomijając zupełnie szczęście obywateli. Olbrzymi aparat propagandowy zmierza do wpojenia w każdą jednostkę przekonania, że naj-[s. 24]ważniejszym i jedynym zresztą na Kołymie zagadnieniem jest: *strana trebujet cwiethawo mietala*⁴⁹.

Tereny wypłukane ze złota poznać można od razu po owych charakterystycznych kopcach stożkowych. Miejsca nietknięte, a zbadane już na zawartość złota, oznaczone są mnóstwem palików opatrzonych napisami określającymi procentową wydajność pola. Doliny potoków, których tu latem mnóstwo spływa z ośnieżonych gór, obfitują najwięcej w żółty kruszec. Woda utrudnia dostęp do warstwy złotodajnej. Złoto występuje tu w postaci rozmaitej, najczęściej więc w postaci ziaren drobnego piasku, barwy naturalnej. Zdarzają się i większe ziarna, jak pszenica, groch, ząb ludzki lub blaszka o nieregularnej powierzchni i kształcie. Takie kawałeczki, od 1 grama w górę, noszą nazwę samorodków⁵⁰. Znajduje [s. 25]

49 Kraj żąda metali kolorowych.

50 Metal znajdujący w ziemi w postaci bryłek, blaszek, ziaren itp.

się czasem i większe bryły, o wadze jednego lub więcej kilogramów.

Wszystkie samorodki kształtem swym przypominają zastygłe bryłki ołowiu roztopionego i wlanego do wody. Barwa samorodków najczęściej w niczym nie przypomina złota; jedne są więc brązowe, inne buraczkowe lub białe. Są i takie, które z kształtu i barwy wyglądają na zastygłe krople krwi i zwane są łzami Kołomy. Po żywym zabarwieniu odróżni je szybko wprawne oko przemysłowca. Wystarczy tylko otrzeć taką buraczkową czy białą bryłkę o ubranie, by samorodek, pozbywszy się barwnego nalotu, zaślnił znieawidzonym żółtym blaskiem.

Okres płukania trwa niecałe 3 miesiące w roku, tj. od końca czerwca do pierwszych dni września. Pozostałe miesiące to czas walki człowieka [s. 26] z przyrodą. Temperatura zimą spada do -70°C . Lato przychodzi gwałtownie, niosąc roje zjadliwych komarów. W południe panuje nawet gorąco, lecz ranki są zawsze chłodne. Skoki temperatury zobrazuje najlepiej fakt, że dnia 30 VI 1941 spadł obfity śnieg, a w południe był już skwar. Nawet w ciągu krótkotrwałej letniej nocy powierzchnia stojącej wody pokrywa się dwucentymetrową warstwą lodu. W drugiej połowie sierpnia tegoż roku notowano -12°C , zaś z początkiem września już -30°C .

Warstwa złotodajna kryje się pod warstwą jałową, której grubość dochodzi do kilku metrów. Wskutek niezbadanych procesów geologicznych złoto zamknęła w sobie zwietrzała i zamarznięta skała o konsystencji glinki; pokład złota przykryty został następnie przez naturę grubą warstwą żwiru. [s. 27]

Odrzucenie żwiru to połowa pracy. Aby to uczynić, należy w pierw zamarzniętą powłokę rozsadzić materiałem wybuchowym. Specjalne brygady tzw. *burszczyków*⁵¹ wybijają żelaznymi łomami głębokie otwory i wysypują do nich amonal, który, detonując równocześnie na dużej przestrzeni, powoduje popęknięcie i wzruszenie zamarzniętej skorupy. Teraz dopiero przystąpić można do pracy. Na terenach obfitujących w złoto usuwanie rozbitego

detonacją żwiru skuteczniejszą duże łopaty mechaniczne pędzone parą, a obsługiwane również przez oddzielne brygady więźniów. Skałę zawierającą złoto poznać można najłatwiej po żywym jej zabarwieniu; przeważa kolor jasnej ochry, zdarzają się i inne: zielonkawy, siny i brązowy przechodzący w fiolet. Grubość warstwy [s. 28] waha się w granicach od 20 cm do 1 m. Głębiej złoto nie występuje.

Płukanie odbywa się sposobem trojakim. Pierwszy polega na ręcznym płukaniu w małych nieckach cedrowych, zwanych łatkami⁵². Łatocznikiem⁵³ może zostać w zasadzie tylko *wolniaszka*, czyli więzień, który odbył już karę, a którego ciągle ludzka obietnicą powrotu *na matierik*⁵⁴, gdy tylko przygotuje się transport odpowiedniej ilości ludzi i gdy przyjdzie okręt. W międzyczasie wyszukuje się *wolniaszce* nowe przestępstwo, oskarża go i skazuje na dalsze odbywanie kary ciężkich robót. Jest wielu takich, którzy naznaczoną karę odbyli już kilkakrotnie i zrezygnowali ostatecznie z nadziei powrotu.

Łatocznik nabiera do niecki kilka kilogramów ziemi i, zanurzając ją w wodzie, miesza, do- [s. 29] póki wszystkie grudki dokładnie się nie rozpuszczą; posługuje się przy tym małą kociubą⁵⁵, zwaną *skrybkiem*⁵⁶. Złoto, jako najcięższe, opada przy tej manipulacji na dno niecki. Stopniowo odrzuca *latocznik* ziemię z wierzchu i zanurza niecki znowu w wodzie, powtarzając ten proceder kilkakrotnie. Gdy wreszcie odrzuci resztę ziemi i piasku, spostrzeżę w wąskim rowku biegnącym w poprzek niecki kawałeczki złota. Splukuje je wtedy z przechylonego *latka* do puszek blaszanej. I tu obowiązuje norma. *Wolniaszka* musi dostarczyć dziennie 31 gramów złota, by otrzymać miesięcznie 250 rubli. Za każdy gram oddany ponad normę otrzymuje dodatkowo rubla. Połowę zapłaty ma dostać *po zakonu*⁵⁷ w naturze, a połowę w gotówce; w rzeczywistości asygnowanie tego zarobku [s. 30] zależy od humoru NKWD.

Pomocnikiem *wolniaszki* jest zazwyczaj więzień, którego obowiązkiem jest wykopać we wskazanym miejscu dół kilkumetrowej głębokości, aż do warstwy złotodajnej.

52 „Łatok to był drewniany prostokątny talerz z wgłębieniem na dnie, gdzie zbierały się przemyte samородki” – J. Siemiński, *Moja Kołyma*, Warszawa 1995, s. 60.

53 Osoba obsługująca *latok*.

54 Stały ład.

55 Pogrzebacz.

56 „Skrybok to rodzaj małych grabek, a raczej motyczki na drewnianej ręczce” – J. Siemiński, *Moja Kołyma...*, *op.cit.*, s. 60.

57 Według prawa, zgodnie z prawem.

58 „Rynny drewniane wbudowane w potok” – K. Żurawiecki w relacji zamieszczonej w: K. Zamorski, S. Starzewski, *Sprawiedliwość sowiecka*, Warszawa 1994, s. 405.

59 Filc.

60 Więzień funkcyjny obliczający procenty wykonanej normy.

Jakkolwiek praca pomocnika jest ciężka, los jego jest stosunkowo znośny, gdyż *wolniaszka* okazuje mu czasem pomoc, biorąc sam kilof do ręki.

Drugi sposób typowy to płukanie w korytach drewnianych przenośnych, a wbudowywanych każdorazowo w innym potoku. Przy tej pracy zajętych jest czterech ludzi; jeden kopie ziemię i wypełnia nią taczki, drugi dowozi taczki do koryta i wysypuje do niego zawartość, trzeci porusza ustawicznie dużym *skrybokiem*, przyspieszając płukanie, czwarty wyrzuca łopata na brzeg gromadzący się u wylotu muł i kamienie.

Dno *butary*⁵⁸, bo tak brzmi jej właściwa nazwa, stanowi sito blaszane o okach 2–3 cm średnicy; pod sitem leży wołok⁵⁹. W czasie płukania strumień wody porywa z sobą lżejsze części, tj. muł i kamienie, zaś złoto opada przez oka sita na wołok i pozostaje tam do końca zmiany. Dziesiątnik⁶⁰ kończy pracę osobiście; zdejmuje wołok i wypłukuje ręcznie, w nieckach, warstwę mułu leżącą na wołoku. Wtedy dopiero zobaczyć można całodzienny, względnie całonocny urobek. Norma wynosi około 100 gramów dziennie, w zależności od miejsca. Zdarza się często, że zespół przenośnej *butary* nie da pożądanej normy złota; zespół taki pracuje w dalszym ciągu, dopóki nie wypełni normy. W ten sposób praca trwa 24 godziny, bez przerwy na wypoczynek, stanowiąc rodzaj kary.

Trzeci sposób, stosowany najczęściej, bo oparty na pracy zbiorowej, idącej po myśli głoszonych haseł, daje najwięcej pola do popisu strażnikom NKWD. Polega on na płukaniu warstwy złotodajnej w maszynach amerykańskich. Maszyny te, wyposażone w duże sita bębnowe, pędzone są elektrycznością z ruchomych elektrowni. Urozmaicające krajobraz wysokie rusztowania mieszczą właśnie na swoim szczycie te płuczki elektryczne.

Płuczka znajduje się w ustawicznym ruchu. Do obracającego się bębna żelaznego ustawionego poziomo, z nieznacznym spadkiem, wlewa się strumieniem woda pompowana z dołu silnikiem spalinowym. Równocześnie

transporter pasowy wy-[s. 33]ciąga z ustawionego na dole bunkra wsypywaną doń przez więźniów zawartość taczek i wrzuca ją do bębna. Tutaj następuje dokładne mieszanie z wodą; złoto opada przez oka bębna do niżej ustawionych koryt blaszanych, urządzonych na wzór przenośnej *butary*. Wypłukane kamienie wylatują drugą stroną bębna, tworząc z czasem wysokie usypiska. Drobnny żwir z mułem wpada do koryt dolnych, a stąd, porwany prądem wody, spływa do *baks*⁶¹ blaszanych, odpływowych. Stąd trzeba go stale wyrzucać łopatami na obie strony, dla umożliwienia wodzie odpływu. Praca *na baksach* należy do najcięższych, gdyż nie pozwala więźniowi ani na chwilę wypoczynku. *Baksy* wywołują w bardzo krótkim czasie chorobę serca, a często nagłą śmierć. [s. 34]

Nie mniej ciężka jest praca *w zaboju*⁶², czyli przy kopaniu złotodajnej warstwy. Więźniowie pracują, stojąc przeważnie w wodzie o temperaturze zerowej i nabawiając się w ten sposób rychło gruźlicy kości w nogach. Poza odmrożeniami jest to druga przyczyna kalectwa *dochodzą*gów. Norma – 6–9 m³, zależnie od twardości gruntu. By nie zostać na następną zmianę, należy albo wypełnić normę, albo, co rzadko się udaje, okłamać *zamierszczyka*, tj. wyznaczającego teren do wykopania w ciągu zmiany.

Lżej jest nieco pchać żelazne taczki po wąskich żelaznych *trapach*⁶³; gorzej – po drewnianych. Do taczek trzeba mieć odpowiednią siłę. Samo kółko od taczek waży 6–8 kg, taczki puste 30 kg, a z ładunkiem 100–120 kg. Pchając taki ciężar [s. 35] pod górę, do bunkra, osłabiony człowiek spada często z kładki wraz z taczkami i ginie lub zostaje kaleką – *dochodzą*gą.

Płuczkę maszynową obsługuje kilka brygad po 30 ludzi jednocześnie. Norma – 1500 gramów na dobę i brygadę, a 24 kg na dobę – *uczastek*⁶⁴, tj. cały obóz, liczący około 250 ludzi.

Praca odbywa się w 2 zmianach, dziennej i nocnej, i trwa bez przerwy. Dni wolnych od pracy nie ma. Aby dojść na czas z obozu do kopalni, więźniowie

61 „Koryta blaszane odprowadzające wodę z płuczki” – K. Żurawiecki w relacji w: Ossolineum, Akc. 105/96/II/KZ/16/. Odpowiedź na ankietę „Złoto”, 1996.

62 *Zaboj* – ‘przodek w kopalni’; tu: ‘miejsce, z którego wydobywa się ziemię, odwał’.

63 Kładka.

64 Popr. *uczastok*, tu: punkt obozowy.

⁶⁵ Rozprowadzanie więźniów do pracy.

⁶⁶ Zob. przyp. nr 26.

wyprowadzani są z baraków na *razwod*⁶⁵ o godzinę wcześniej. Po pracy właściwej nie ma jednak też wyczynku; wszak należy pomyśleć jeszcze o poprawieniu mieszkań na zimę, zwłaszcza mieszkań dla NKWD. Ciągający ledwie za sobą nogi, głodni, obdarci ludzie wloką [s. 36] się pod nadzorem *strieloków*⁶⁶ jeszcze szereg długich kilometrów dalej, po budulec do lasu lub po mech do poprzednio wyznaczonych miejsc. Z belek będą budować jakiś nowy dom dla zarządu obozu; mech posłuży do uszczelnienia własnych baraków, w których pełno dziur.

Późną nocą wyczerpana nadludzkiem wysiłkiem gromada tragicznych cieni wraca, objuczona ciężarem, przez rzekę do obozu, po to, by po wypiciu owsianej zupy zasnąć przez kilka godzin na drewnianych wąskich narach, bez żadnego posłania. Niejeden jeszcze suszy ukradkiem przy piecu blaszanym ubranie i onuce, po to, by je zaraz z rana znowu zamoczyć. Wychodzenie w nocy z baraku jest dozwolone, jednak tylko w samej bieliźnie. [s. 37]

Przed samym wejściem do obozu płynie rzeka. Celowo nie zbudowano na niej mostu. Nędzna kładka nie spełnia swego zadania. Przechodzenie w bród jest praktykowane bardzo często. Jest to zresztą – poza myciem twarzy i stosowaną raz w tygodniu namiastką *bani* – jeden z zabiegów higienicznych więźnia. Utrzymanie rąk we względnej czystości wobec ustawicznego babrania się w błocie staje się niemożliwe i niecelowe. Ręce czernieją od brudu i braku mydła; stwardniała skóra rogowieje i pęka na zgięciach, tworząc otwarte, niegojące się rany. Jedyną ulgą dla rąk jest częste zwilżanie ich w czasie pracy wodą. To znowu utrudnia gojenie. Starzy więźniowie ran już nie mają, za to u rąk i nóg brakują im palce. [s. 38]

Komary – to jedno utrapienie więcej. Praca bez siatek ochronnych na głowie niemożliwa; przez gęste oka czarnej siatki osłabiony wzrok jeszcze więcej się męczy i psuje. Gorzej z rękoma, które z ran i ukłuć komarów stale są opuchnięte.

– Do tego wszystkiego trzeba się przyzwyczaić – mówił stary inż. Uszakow w Magadanie. Ale jak tu się

przyzwyczać, gdy się pcha taczki po wąskiej kładce, a ręce oblepione są komarami kłującymi do krwi? Jak przyzwyczać się do opuchniętych stale rąk i obrzękłych od *cyngi*⁶⁷ nóg? Czy można przyzwyczać się do tego, że brudna koszula przylepia się ustawicznie do otwartych ran na plecach i w kroku? Tym wszystkim przypadłościom ma rzekomo przeciwdziałać picie wywaru z młodych pędów cedrowych. Świństwo gorzkie i cierp-[s. 39] kie w smaku wydawane jest codziennie do picia i reklamowane jako uniwersalny środek leczniczy pod hasłem: *piejcie chwoju*⁶⁸ *a to nie budietie baliet' cyngoj*⁶⁹. Pomaga jak umarłemu kadzidło.

Ociekające lodową wodą zbocza kołymskich gór tworzą niezliczone mnóstwo potoków, rzek i jezior. Każda większa dolina to kopalnia złota zatrudniająca około 250 ludzi, czyli krótko mówiąc – *uczastek*. Świat zainteresowań tych ludzi to chleb i zachowanie życia; ich pożądania zamknęły się w jednym słowie: machorka. Kobiet na Kołymie nie ma⁷⁰, nikomu nie są potrzebne.

Władzę w tym ponurym państwie sprawują ubrane w niebieskie czapki, najciemniejsze osobistości Azji, kierując się przy tym prawem własnym, [s. 40] nigdzie nie pisany. Na codziennym *razwodzie*, czyli zbiórce przed wyjściem do pracy, słyszy więziń odczytywanie wyroków śmierci za ucieczkę lub kradzież złota. Za ucieczkę poczytywane jest mimowolne nawet oddalenie się z miejsca pracy poza określoną granicę. Częste są wypadki zastrzelenia człowieka, który udał się za daleko dla naturalnej potrzeby. W takim wypadku wykonanie wyroku poprzedza ogłoszenie go na *razwodzie* dopiero w dniu następnym. Za kradzież złota uważane jest podniesienie z ziemi samorodka pod nieobecność dziesiątnika; od niego też, a w szczególności od jego humoru zależy kwalifikacja czynu. Tak nakazuje prawo – niepisane prawo Kołomy – udzielnego księstwa szatana.

Jest chłodny sierpniowy wieczór. [s. 41] Brygady czarnych masek kończą pracę *w zaboju*. Pod trzeszczącym od stuku maszyn rusztowaniem uwija się mrowie

67 Szkorbut, gnilec.

68 Wywar z igieł drzew iglastych.

69 Pijcie chwoję, to nie będziecie chorować na cyngę.

70 Na Kołymie istniały obozy kobiece – zob. np. wspomnienia E. Ginzburg, *Stroma ściana*, Warszawa 2007.

ludzkie – niby tłum niewolników przed tronem bezwzględnego tyra. Opodal widać korowód takich samych ludzi w maskach. Nadchodzi zmiana. Stanęli. Brygadierzy oddają sobie urządzenia i sprzęt. Dziesiątnicy rozdzielają *zaboje*. Z góry słychać gwizdek siedzącego na kopcu przy *kastiorze*⁷¹ *strieloka*. To sygnał do marszu dla starej zmiany. Nowa przystąpiła do dalszej pracy nad nakarmieniem płuczki – molocha. [s. 42]

Piąta zona

Żulików, czyli więźniów odbywających karę za przestępstwa natury cywilnej, trzymano osobno, nie mieszając ich zasadniczo z przestępcami politycznymi. Pochodząca stąd duża nienawiść żulików do nas ujawniała się zawsze, ilekroć doszło do przypadkowego zetknięcia się ich z nami.

Osobliwy był sposób życia tych ludzi. Po swojej stronie chodzili stale tylko w bieliznie lub nago; ubrań żadnych im nie dawano, gdyż do pracy nie byli używani; jedzenie ich było wielokrotnie gorsze od naszego, a raczej chleba mniejsze o połowę. [s. 43] Stale głodni i zmarznięci, zachowywali się jak wściekłe psy, krążąc dzień i noc poza odrutowaniem. Sprawowanie się ich nastroczało strażnikom wiele kłopotu. Nocna strzelanina z karabinów maszynowych do ich obozu nie należała do rzadkości; wynoszono następnie zastrzelonych *za sopku*; rannych nie opatrywano.

Najulubieńszym zajęciem żulików była gra w karty, a że pieniędzy nie mieli, wymyślali sobie rozmaite inne stawki. Często upatrywali sobie kogoś „niewygodnego” ze współtowarzyszy, postanawiając grać o jego ucho lub palec. Wygrywającemu przysługiwało prawo do jedynej w swoim rodzaju, a skądinąd bardzo problematycznej przyjemności odcięcia delikwentowi pewnej części ciała. [s. 44] Stąd częste krzyki i wołania o pomoc dochodzące z piątej zony.

Strażnicy znali dobrze panujące tam zwyczaje i rzadko kiedy reagowali; dla nich była to zabawa. Były przecież

i poważniejsze sprawy. Niejednokrotnie w nocy strażnik stojący na wyszce otwierał ogień maszynowy do usiłujących przedrzeć się przez druty setek żulików. Wielu z nich w ten sposób uciekało; zwłaszcza ci, którym udało się wydostać poza snop światła reflektorów, byli już bezpieczni, gdyż nikt ich nie ścigał. Wielu wracało po kilku dniach, nie znalazłszy możliwości dalszej ucieczki ani pożywienia; tacy liczyli tylko na ułaskawienie od kary śmierci, co w nielicznych wypadkach miało miejsce.

Naczelnik obozu nie zjawiał się nigdy w pią-[s. 45] tej zonie. Niemniej byli wśród żulików tacy, którzy go widzieli i znali z wyglądu. Jakże wdzięcznym polem do popisu byłoby schwywanie naczelnika i oddanie go żulikom do towarzystwa! I taki pomysł zrodził się w zonie... Uchwalono porwać *naczalniczkę*⁷² i odciąć mu głowę. Lecz kto ma to wykonać? Przez szereg dni i nocy grali żulicy w oczko. Ci, którzy przegrali, stanowili oddział wypadowy, mający za zadanie odnaleźć i sprowadzić naczelnika obozu do zony. Wygranym przypadła w udziale zaszczytna funkcja oddzielenia głowy naczelnika od reszty ciała przy pomocy żyłki. Wypad nie powiódł się, bo tylko 40 żulików dostało się za druty. Połowę z nich [s. 46] schwymano i rozstrzelano. Organizatorów imprezy wydali kapusie⁷³. Oto przyczyna większej niż zwykle strzelaniny, świstu kul i całonocnych krzyków w piątej zonie. I jakże tu niewyspanym „politycznym” iść z rana do pracy? [s. 47]

Kara

Nie wypełniłszy normy. Mój *naparnik*⁷⁴, młody kadet ze Lwowa Włodek Z.⁷⁵, stał zrezygnowany, trzymając w rękach *skrybok*, którym przez cały dzień wydrapywał resztki złotodajnej warstwy, w miejscu, z którego w przeddzień czerpano ją do płuczki. Próby przeprowadzane już kilkakrotnie przez brygadiera Miroszniczenkę wciąż jeszcze wykazywały na dnie *łatka żółte załatinki*⁷⁶.

72 Zdrobniale: szef, przełożony, tu: komendant obozu.

73 Donosiciele.

74 Współpracownik (w parze).

75 Wymieniony w dalszej części tekstu Włodzimierz Zyms.

76 Drobiny złota.

77 Popr. *zaczystka* – ‘oczyszczanie’.

78 Głęboka zieleń; określenie od nazwiska XVI-wiecznego malarza włoskiego.

79 Piątkami.

80 Jadalnia, stołówka.

– Przeklęta *zaczystka*⁷⁷! Już lepiej byłoby zostać przy wczorajszej pracy, to jest czerpaniu i pompowaniu wody – rozważaliśmy w przeświadczeniu, [s. 48] że zostaniemy na nocną zmianę.

Drapaliśmy zawzięcie w dalszym ciągu swoich 36 m² brązowej ziemi, upstrzonej żyłkami zieleni Veronesego⁷⁸. Może wreszcie próba wypadnie negatywnie i pójdziemy do „domu”? Uradziliśmy przy tym, że na przyszłość raczej ochotniczo zgłaszać się będziemy do ręcznego wypompowywania wody z *zaboju*; praca dużo cięższa, ale nie ma tej przeklętej normy. Pompa ręczna ma jeszcze i tę „zaletę”, że tylko pierwsze cztery godziny poruszania dźwignią są ciężkie, później człowiek rusza się już automatycznie, nie czując ani bólu, ani zmęczenia. Pracuje tylko serce – a ono prędzej czy później odmówi posłuszeństwa – wszystko jedno.

– I wybieranie wody czerpakiem lepsze niż *zaczystka* – mówił Włodek, zmiatając starannie mio-[s. 49]telką zielonkawy pył.

Nadszedł brygadier, wziął próbkę, przepłukał i stwierdził to samo, co poprzednio: złoto.

Zmiana miała się ku końcowi. Po usłyszeniu kilku soczystych wyzwisk nie myśleliśmy nawet o powrocie wraz z brygadą do obozu.

Ale co to? Nam również każą stawać *po piatiorkam*⁷⁹. Wracamy.

– Może przewinienie ujdzie nam na sucho – myśleliśmy naiwnie.

Gdy z wielkimi kostkami mchu na plecach znaleźliśmy się wreszcie „w domu”, odczuwane zmęczenie łączyło się z równoczesnym zadowoleniem z perspektywy wypoczynku; zadowolenie to potęgował zalatujący od *stałowej*⁸⁰ zapach owsianki gotowanej na kolację. [s. 50]

Nagle wszedł do baraku „starosta” obozu, wywołując z kartki nasze nazwiska.

– *Dawajcie* – krzyknął, ukazując nam drzwi.

Przy bramie odebrał nas czekający tam *bojec* z karabinem.

– *Dawajcie* – powtórzył, wskazując nam kierunek pobliskiego wzgórza.

Na tym wzgórzu, o kilkaset metrów dalej od obozu, stała buda zbita z okrągłaków modrzewiowych, nieuszczelniona i przypominająca klatkę dla dzikich zwierząt. Dach budy był również z okrągłaków pokrytych śniegiem. Dziwna owa budowla nosiła miano izolatora⁸¹.

Tam nas zatrzymano, każąc przed wejściem zdjąć ubranie. Było bardzo zimno, śnieg leżał dokoła, brał mróz. U wejścia czekał osobnik ubra-[s. 51]ny w futerkę i niebieską czapkę NKWD. Ten kazał nam zostać tylko w bieliźnie. Dzwoniliśmy zębami; wepchano nas do środka. Wewnątrz było już innych trzech, także w bieliźnie. Drzwi zamknęły się. Strażnicy odeszli. To wszystko.

Szybkie bieganie po klatce rozgrzałoby nas; nie mieliśmy sił. Wszyscy siedzieli w kucki, starając się naciągnąć na kolana krótkie koszule. Nogi były gołe. Dużym dobrodziejstwem okazał się kawałek szmatki, który przemyciłem pod koszulę; byłem nim stale owinięty, gdyż w baraku tak cenna rzecz się nie uchowa i zostałbym bez „ręcznika”. Tym to ręcznikiem okryliśmy się obaj z Włodkiem. Przytuleni ciasno do siebie, staraliśmy się nie stracić ani odrobiny ciepła oddechu spod ręcznika. [s. 52] Nogi skostniały. Trzeba było biegać po klatce; zresztą tamci trzej narzekali, że utrudniamy im bieganie. Mijały powoli długie godziny milczenia, przerywane co pewien czas przekleństwami naszych towarzyszy. Po kilku godzinach poczęliśmy zimno odczuwać mniej; przyszła gorączka, a z nią błogie uczucie senności.

– *Nie spijcie* – odezwał się jeden z częstszych bywalców izolatora – *a to pamriocie*⁸².

Uważaliśmy, by nie zasnąć. Rozważaliśmy możliwość wydostania się z klatki. Zbiliśmy się wszyscy razem, w kłębek, oddychając do środka. Plecy marzły. Biegaliśmy znowu, włączając nogami i milcząc. Nam sił dodawała modlitwa – tamtym nic. [s. 53] Nad ranem tamci trzej poczęli wołać z płaczem:

81 Karcer.

82 Nie śpijcie, bo umrzecie.

83 Sze funiu, otwórz, bo zginiemy!
Otwórz, prosimy!

84 Śniadanie.

85 Przydział, racja żywnościowa.

86 Kilof.

– *Naczalniczok, atkroj, a to pagibniem so wsjem! Atkroj, pażałujsta!*⁸³

Nie usłyszał *naczalniczok* podobnej prośby z ust Polaka. Nie usłyszy jej nigdy.

Drzwi otwarto na pół godziny przed *razwodem*. Wciągnęliśmy podjęte ze śniegu łachmany na siebie i poszli zjeść owsiany *zawtrak*⁸⁴ i pobrać *pajok*⁸⁵. Prędko, prędko, by nie spóźnić się do pracy.

Włodek Zyms miał szklane oczy. Trawiła go gorączka. Suchy kaszel zwiastował zapalenie płuc. Do lekarza nie chciano go skierować. Tego dnia Włodek normę wypełnił. Nie dlatego, że pilnie pracował. Włącząc się po *zaboju* z łopata i *kirka*⁸⁶ na zmianę, udawał pilność. [s. 54] Oznaki choroby były nazbyt widoczne. Na dnie serca starego zbója Miroszniszienki odżyło widocznie jakieś zapomniane dawno uczucie, z którego sam nie umiał zdać sobie sprawy, a które my nazwalibyśmy litością. Wieczorem nie jadł Włodek owsianki; mówił, że mu nie smakuje. Gdy kładł na nary swe chude piszczele, miał nawet humor i opowiadał mi różne wesołe zdarzenia z czasu swego pobytu w Korpusie Kadetów we Lwowie. Kadet Włodek Zyms majaczył. [s. 55]

Dlaczego Untenberga odesłano na *Centralnyj*

Od pewnego czasu Lubicz zwracał swą uwagę szczególnie na Niemców. Odnoszenie się tego dziesiętnika do ogółu więźniów nacechowane było jakąś nikomu niezrozumiałą nienawiścią. Opowiadano o nim, że po odbyciu kary na Kołymie nie chciał w ogóle wracać na wolność. Rzecz inna, że nikt mu tej propozycji nie stawiał. Zaimponowała mu widocznie sprawowana funkcja i przewróciło mu się w głowie. Znęcanie się nad ludźmi sprawiało mu przyjemność i było źródłem zamiłowania, z jakim wykonywał [s. 56] swój nieczny zawód.

Rozumu za kopiejkę Lubicz nie posiadał, ale za to miał zawsze pełny worek machorki. Światopogląd ekscelencji

zamykał się w *Uczastku* Nieczajnym i normach jego wydajności. Gdy doszły go słuchy o wojnie sowiecko-niemieckiej, on, w swym ptasim mózgu, wydał wojnę tym Niemcom, których miał pod ręką. W obozie było ich kilku.

Herr Finke wywodził się znad Wołgi, gdzie ongiś był kolonistą. Mile wspominał carskie czasy. Od rodziny nie miał żadnych wiadomości, ale codziennie opowiadał z rozrzewnieniem o swej żonie i dzieciach; nie mniej rzewnie przypominał sobie ulubione *Eierspeise, Milchsuppe und Kartoffelkuchen*⁸⁷. Kiedyś może przedstawiał sobą doskona- [s. 57] ły typ *Landsmana*⁸⁸; dziś jako dominująca cecha pozostał mu tylko okazały nos i tzw. zdolności organizacyjne. Nie mając zresztą co organizować, zorganizował sobie system odżywiania, dzieląc codziennie bardzo skrupulatnie otrzymywany chleb na 3 równe racje. Mimo głodu nie ruszył nigdy kromki o niewłaściwej godzinie. Poza tym *Herr Finke* umiał sporządzać z drzewa cienkie, długie szpilki służące do spinania kawałków chleba w jedną całość; oddawał je ukradkiem *chleborezowi*⁸⁹, otrzymując czasem w zamian dodatkową porcję razowca.

Kolega jego, Hans Schulze, rodowity mieszkaniec Hamburga, był kiedyś operatorem filmowym. Sądząc z okazałego brzucha, który mimo upływu długiego czasu jeszcze nie opadł, mu- [s. 58] siał dawniej mieć się dobrze. Wyjechał do Rosji znęcony korzystną umową i nadzieją łatwego zarobku. Zdaniem Lubicza „zarabiał” i obecnie nieźle, mając szczególne szczęście do znajdowania dużych samorodków. Aby czymś wypełnić czeluści brzucha, Schulze był w zмовie z obsługą kuchni i *kaptiorką*, czyli magazynem żywnościowym, uzyskując zezwolenie na wybieranie z beczki odpadków przeznaczonych dla świni NKWD. Mimo to Schulze był stale głodny jak inni, a pozorna dobra tusza pochodziła z chronicznej puchliżny wodnej.

Najmłodszy z nich, Paul Untenberg, był synem kolonisty nadwożańskiego. Sam nie uważał siebie za

87 Jajecznica, zupa mleczna i placki ziemniaczane.

88 Rodak, ziomek.

89 Krajacz chleba.

⁹⁰ Sowiecki związek młodzieży komunistycznej.

⁹¹ Przewodniczący kolchozu.

⁹² Więźniowie.

⁹³ Więźniowie pracujący w zaboju (zob. przyp. nr 62).

⁹⁴ Siatka przeciw komarom.

⁹⁵ Lub *buszlat* – długa watowana kurtka, rodzaj płaszczka.

Niemca, a swój język ojczysty znał bardzo słabo. Wszak był wychowankiem Komsomołu⁹⁰. [s. 59] Do łagru dostał się, jak sam opowiadał, za głupstwo – zabił nożem *predsiedatiela kolchozu*⁹¹. Wyzuty z wszelkich uczuć, baczyl pilnie, by zachować maksimum sił, kosztem współtowarzyszy. Toteż krał, a często i z rąk wyrwał innym chleb, czując jeszcze na tyle sił, by nie obawiać się swej ofiary; wiedział zresztą, że wzajemne okradanie się więźniów uchodzi bezkarnie. Kierownictwo *Uczastka* chętnie widzi właśnie między *zakluczonymi*⁹², uważając je za szkołę życia. Spory znajdują często rozwiązanie w samosądach, aż do zamordowania człowieka włącznie, przy zupełnej obojętności władz obozowych. Toteż i Lubicz skargi na Untenberga zbywał zawsze śmiechem. Aż pewnego dnia po wydaniu przez Lu-[s. 60] bicza „wojny” Niemcom – przyszła kolej i na Untenberga. Tym razem nie chodziło o kradzież.

Była biała noc. Niezliczone roje komarów cięły ręce. Dziesiątnik, siedząc na wzgórzu, obserwował przez długą chwilę pracę Untenberga. Zanim *zabojszczyki*⁹³ zdążyli wrzucić do taczek Niemca ostatnie łopaty złotej ziemi, ten porywał ładunek, odwożąc coraz to mniejszy ciężar do bunkra. Lubicz wezwał go do siebie i zaprowadził na pobliski kopiec. Tam kazał mu zdjąć z głowy *nakomarnik*⁹⁴ i czapkę, nie zezwalając na odpędzanie komarów. Tak stał, rozmawiając z nim długo. Następnie kazał mu zdjąć *buszlak*⁹⁵, bluzę, spodnie i buty. Niemiec został tylko w bieliźnie. Lubicz spokojnym głosem coś mu tłumia-[s. 61]czył i o coś pytał. Początkowo Niemiec odpowiadał głośno, butnie, prawie krzycząc. Stał tak na wzgórzu godzinę, może dłużej. Lubicz wciąż coś mu perswadował. Gdy wreszcie ustawiczne kłucie przez komary stało się nadal nie do zniesienia, Paul Untenberg począł prosić płaczliwym głosem dziesiątnika, by pozwolił mu się ubrać; obiecywał solennie poprawę. Lecz Lubicz stał i zadawał mu dalsze pytania. Po chwili doprowadzony do wściekłości Niemiec zaczął opędzać się od komarów. Dostał w twarz. Oddał Lubiczowi.

Wywiązała się bójka, w której na pewno uległby Lubicz, gdyby nie pomoc *bojca*, który zbiegł z kopca i wmieszał się do walki. Pod razami kolby Untenberg upadł na ziemię. Lubicz wstał, poprawił odzież i wydawszy *bojcowi* jakieś zle-[s. 62]cenie, oddalił się. Usiadł na dawnym miejscu, a wyjąwszy gazetę i worek z machorką, skręcił papierosa. W międzyczasie kałmuk⁹⁶ kazał Niemcowi powstać i zdjąć bieliznę, ale ten zawył tylko z bólu, tarzając się po ziemi. Bielizny zdjąć nie chciał, błagając oprawcę, by dał mu spokój. W odpowiedzi rozwścieczony strażnik zdarł z niego nędzną koszulę bez rękawów i krótkie *triusy*⁹⁷. Noc była wyjątkowo ciepła tylko o północy; gdy słońce zaszło, chwycił przymrozek. Untenberg leżał nago, zmęczony bólem, walką i opędzaniem się od komarów. Dla rozgrzewki próbował biegać i siadał znowu. Po godzinie ukazało się znowu słońce, a z nim nowe zastępy komarów. Mijały powoli białe godziny kołymskiej nocy. [s. 63] Paul Untenberg przykucnął do ziemi i wtuliwszy głowę między kolana – trwał... Był w gorączce, więc nie czuł już bólu. Miliony komarów przylatywały, by napić się bezkarnie krwi i odlecieć, zostawiając miejsce innym. Szklane oczy Niemca patrzyły nieruchomo w dół *zabaju*, gdzie brygada kończyła pracę. Nadchodziła już zmiana, gdy *bojec* podszedł do siedzącego, rzucając mu ubranie.

– *Adiewajsa*⁹⁸ – mruknął.

Paul Untenberg usłuchał; w pokonanym siłą odezwała się krew narodu uznającego wszak siłę przed prawem. Nie jest też wykluczone, że w duchu przyznał rację Lubiczowi, rozumując, że zgrzeszył przeciw bożkowi pracy – wyrodny syn Komsomołu. Milcząc, wracał do obozu. [s. 64]

Tego dnia odprowadzono Untenberga do *stacjonara*⁹⁹ na *Uczastok Centralnyj*. Rozpoznanie choroby przez lekarza było nad wyraz trafne i oryginalne; orzekł on, że przyczyną spuchlizny i gorączki było nadmierne picie wody. Uwierzył w to również Lubicz. [s. 65]

96 Człowiek z plemienia mongolskiego zamieszkującego południowo-wschodnią Rosję; tu: określenie człowieka o azjatyckich rysach.

97 Spodenki.

98 Ubieraj się.

99 Szpital obozowy.

Samorodek

Pamiętam jak dziś...

Był to pierwszy dzień mej pracy w *zaboku*. Widziałem jak nabierana na łopatę jasna ochra zaiskrzyła tu i ówdzie blaskiem, ale nie byłem pewny, czy blask ten należy do złota. Przekonać się było rzeczą łatwą, lecz zabronioną. Wolno było zauważoną większą bryłkę podnieść w oczach dziesiętnika i oddać mu ją do ręki, ale uczynić to pod jego nieobecność, a być zauważonym przezeń z daleka – było równoznacznym z kradzieżą złota. Aby swego dopiąć, czekałem północy. [s. 66]

Nie było jeszcze całkiem ciemno, gdy nadarzyła się okazja. Do *zaboku*, w miejscu wybranej złotej ziemi napływało coraz więcej wody. Wiedząc o tym, że dziesiętnik do wody nie wejdzie, rozpocząłem płukanie na własną rękę. Napelnioną lekko łopatę zanurzyłem w wodzie, poruszając nią i pomagając lewą ręką w roztarciu grudek, podobnie jak to robią *łatoznicy*. Gdy po kilku minutach tej ostrożnej pracy zlałem wodę, zobaczyłem na dnie łopaty małe jasne okruszyny. Wziąłem jedną z nich w palce, przecierając. Mała była i posiadała kształt jagły¹⁰⁰. Więc to jest to, co stanowi od niepamiętnych czasów przedmiot pożądania u ludzi; cecha zamożności, podkład waluty w państwie, ozdoba kobiet, przyczyna tylu nieszczęść i zbrod-[s. 67]ni; tak bezwartościowy i tak równocześnie cenny kruszec, którego dobywanie stoi na usługach straszliwej metody niszczenia zdrowia i życia przestępców politycznych! Rzuciłem jagłę – daleko, za siebie... Większych okruszków szukałem tej nocy bez skutku. Zresztą potem było już jasno, niebezpiecznie.

Pamiętam jak dziś...

Według mojej rachuby czasu była niedziela. Po południu zajęty byłem oczyszczaniem kanału zamulonego pozostałością po płukaniu. Wyrzucając muł na brzeg, nie myślałem wcale o możliwości znalezienia tam złota. Byłem sam. *Bojec* siedział na kopcu przy ognisku i palił machorkę. W wyrzuconej łopacie mułu zauważyłem

[s. 68] bryłkę jasnoburaczkowego koloru, kształtu i wielkości małego palca u ręki. Podniosłem ją i stwierdziłem, że jest ciężka. Otarłem o ubranie, zaślniła żółto-złotem. Nie zdradzając się następnie żadnym ruchem, trzymałem ją w ręku, pracując jak poprzednio. Nadszedł *wolniaszka* Mandzur, z *łatką*. Skinąłem na niego porozumiewawczo i wrzuciłem grudkę do jego niecki. Zrozumiał, o co chodzi; za sto gramów złota otrzymałem od niego coś cenniejszego – szczyptę machorki, a nawet kawałek gazety do skręcenia papierosa.

Pamiętam, jak pewnego ranka łupałem zamrożoną brunatnowiśniową skałę, wrzucając ją do taczek Włodka. Skała popękana była w liczne szczeliny wypełnione przezroczystym lodem. Szybki lodu pękały pod uderzeniem kilofa, wyrzucając z siebie widziane gołym okiem złote ziarna. W jednej z nich spostrzegłem większą jasnożółtą plamę. Z rozbitej szybki wyskoczyła bryłka jasnozłota, posiadająca wagę kilkuset gramów i przepiękny, symetryczny kształt rogów jelenia. Spod kilofa prawie porwały ją drapieżne ręce dziesiętnika. Lubicz zawiesił ją na nitce i uderzając cygarniczką, zabawiał się dźwiękiem złotych rogów. Czysty głos dzwonka rozlegał się długo po *zaboku*, a wykrzywiony pysk Lubicza oznaczał, że ekscelencja uśmiecha się z zadowolenia. [s. 70]

¹⁰¹ Więzień sprząający barak i pilnujący go w ciągu dnia.

Staszek Pytlarz

Czy żyjesz Ty tam jeszcze, Staszku, w nędznym trzecim baraku i czy nadal pełnisz funkcję *dniewalnego*¹⁰¹? Czy Twoje wypłowie od ślepoty oczy widzą jeszcze czasem stożkowe kopce Nieczajnego? Czy chodzisz jeszcze o własnych siłach i czy bardzo Cię bolą zżarte gruźlicą nogi?

Prosiłeś, gdyśmy się żegnali, bym Ci napisał list. Wywiązuję się z obowiązku, poświęcając Ci jeden rozdział pamiętnika – innej drogi nie mam.

Donoszę Ci, że jestem szczęśliwy o tyle, że cieszę się wolnością oraz że wróciło mi zdrowie. Speł-[s. 71]niam zaszczytny obowiązek względem Ojczyzny, służąc w Wojsku Polskim. Jedynym „ale” jest to, że mam daleką jeszcze i trudną drogę do Kraju, w którym zostawiłem żonę Irkę i syna Kazia. Nie mam od nich nadal żadnych wiadomości; sam też listów do nich nie wysyłam, gdyż boję się, że to im raczej zaszkodzi, bo cenzura nie śpi. Cóż więcej napiszę Ci, Stachu? Czy mam roztaczać przed Tobą mirażę wolności po to, byś bardziej odczuł i zrozumiał przepaść dzielącą Twój los od mego?

Trzymaj się mocno, Staszku! Wierzę, że już niebawem zwiną okręty do ponurej zatoki Magadanu, by zabrać ciągnące z *uczastków* szeregi. A może spotkamy się kiedyś i zaśpiewasz mi znowu tego krakowiaka, którego nu- [s. 72] ciłeś, dobywając złoty muł z *prowała*¹⁰²?

Całuję Cię
Kazik

Spotkaliśmy się po raz pierwszy przy pracy nad wybieraniem mułu z koryta potoku szczególnie bogatego w złoto. Praca była stosunkowo lekka. Złota nie można było wybierać wprost z wody. Należało wpierv skierować potok w przygotowane poprzednio, nowe koryto. Nie bardzo nam się to udało; chodziło zresztą o markowanie pracy, a nie o jej wydajność. Początkowo nie miałem zaufania do nowego współtowarzysza. Był mrukliwy, a o lada drobnostkę oburzał się na mnie, używając przy tym soczystych rosyjskich wyzwisk. Udzielał mi wskazówek, gdyż, jak mówił, pracuje już piąty rok na [s. 73] złocie, więc ma doświadczenie. Liczył mniej niż trzydzieści lat i robił wrażenie nie-Rosjanina. Zapytałem go, kim jest i za co go tu wywieziono. Odpowiedział, że nazywa się Stanisław Pytlarz i jest z zawodu inżynierem miernikiem; pochodzi

z Leningradu. Usłyszawszy to, zrobiłem uwagę, że tak imię, jak i nazwisko brzmią po polsku. Wyjaśnił mi, że w rzeczywistości ojciec jego był Polakiem, matka Łotyszką, z Rygi.

– A wy za kogo się uważacie? – zapytałem.

– *Ja koniecznie, Ruskij*¹⁰³ – brzmiała odpowiedź.

Starąłem się tłumaczyć mu, że skoro ojciec był Polakiem, to on, bez względu na pochodzenie matki, powinien też czuć się Polakiem. Nie przecząc, milczał długą chwilę. Nagle zapytał mnie łamaną polszczyzną: [s. 74]

– Wy, Polak, a znacie wy taką piosenkę?

Tu zagwizdał krakowiaka, starając się następnie przypomnieć sobie słowa. Odpowiedziałem, że piosenka jest mi dobrze znana, lecz słowa do niej znam inne.

– A skąd znacie krakowiaka? – pytałem dalej.

Wtedy Stanisław Pytlarz opowiedział mi dzieje swego dzieciństwa, spędzonego do siódmego roku życia w Rydze, gdzie mieszkali jego rodzice. Pamiętał nieźle mowę polską i polskie zwyczaje. Początkowo z pobłażliwym uśmiechem, a później z pewnym rozrzewnieniem opowiadał o choince, którą rokrocznie urządzała rodzice na Boże Narodzenie dla jedynaka. Pamiętał też niektóre kolędy.

– A później – mówił Staszek – *stało gorzej*, bo ojca aresztowali, a matka oddała mnie na wycho-[s. 75]wanie w *instytut*¹⁰⁴, a sama niedługo potem umarła. Uczyłem się bardzo dobrze i zostałem inżynierem miernikiem. Jeździłem po całej Rosji, wytyczając drogi kolejowe. To właśnie stało się przyczyną mojego aresztowania. Po pewnym wypadku kolejowym zarzucono mi sabotaż i zasądzono na 10 lat obozu ciężkich robót. Odbyłem już cztery, pozostało jeszcze sześć.

Na nic przydały się moje perswazje, by nie poddawał się rezygnacji; jest przecież wojna i wszystko może się w każdej chwili zmienić. Wytłumaczył mi, że gdyby go zwolniono nawet natychmiast z obozu, nic mu to nie pomoże, bo już od roku cierpi na gruźlicę kości w nogach. Wzrok ma coraz słabszy i nie ma apetytu do jedzenia.

Przekonałem się tego samego dnia, wracając z nim razem do obozu, że miał słusność. Po nierów-[s. 76]nym

¹⁰³ Rosjanin.

¹⁰⁴ Uczelnia wyższa; kontekst wskazywałby raczej na internat.

¹⁰⁵ Popr. *nie lza* – ‘nie wolno’.

¹⁰⁶ Wrzątek.

gruncie stąpał z trudem, przęcał raz po raz pólshytywne nogi. Wieczorem widział bardzo słabo; musiałem go prowadzić, by nie upadał, zawadzając o grudy i kamienie. Najgorzej wyglądała sprawa przeskakiwana potoków i kanałów. By nie zostawał w tyle, narażony na popędzanie kolbą, ustawiałem go na brzegu i popychałem mocno w przód. Przeskakiwał, czepiając się rękoma drugiego brzegu; często wpadał do wody. Do przeniesienia go na drugi brzeg potrzebna byłaby kładka, a czy siły dopisałyby – też nie wiadomo.

Staszek jadł coraz mniej, chleb oddawał coraz częściej kolegom. Chudł przy tym i opadał zupełnie z sił. Gdy musiał pchać taczki, kazał wypełniać je sobie tylko do połowy, bo więcej nie mógł nawet podnieść z ziemi. Nie *lza*¹⁰⁵ tak robić. [s. 77]

Gdy pewnego dnia *strielok* złapał Staszka na gorącym uczynku, podszedł doń z besztaniem i pogroźkami. Pytlarz odstawił taczki, mówiąc, że w ogóle pracować nie będzie, bo nie widzi i nie ma sił. Wywołało to wściekłość kałmuka. Uderzył więźnia po twarzy raz i drugi, kopnął, przewracając go na ziemię, a potem bił dalej, ale już kolbą karabinu... Wyładowawszy złość, strażnik oddalił się. Staszek usiadł obok swych taczek, a oparłszy o nie głowę, cicho płakał. Krople ludzkich łez wraz z zastygłymi kroplami złota powędrowały do bunkra, do płuczki...

Na następny dzień nie wzięto już do pracy Staszka *dochodiagi*. Odprowadzono go do *stacjonara* na Centralnym. Powrócił po kilku dniach i otrzymał funkcję *dniewalnego* w baraku. [s. 78] Mył odtąd podłogę, nosił wodę, wydawał chleb. Miał swój kąt, w którym stała miotła i leżały szmaty do sprzątnia. Była tam i beczka z wodą, i kubek do picia. Staszek czuł się moralnie lepiej. Palił w piecu przynoszone przez nas z pracy modrzewiowe gałęzie; gotował w blaszanym kociołku *kipiatok*¹⁰⁶ i przypiekał na blasze kromki czarnego *pajoku*.

Po dłuższym obcowaniu z nim przekonałem się, że coraz częściej interesuje się wszystkim, co dotyczy Polski i Polaków. W Staszku ożyła krew ojców. Pewnego dnia szepnął mi na ucho:

– Czytałem gazetę, pójdziecie na wolność...

Nie wierzyłem, mimo przeświadczenia, że kres bezprawia przyjść musi. Staszek mówił dalej:

– Szkoda, że nie jestem obywatelem polskim. Pojechałbym z wami. A może da się coś zrobić? Prze-[s. 79] cież umiem już dość dobrze mówić po polsku!

Upragniony dzień amnestii, wyśniony w najśmielszych przypuszczeniach, przyszedł rychło i niespodziewanie, zgodnie z przepowiednią Staszka. Na *razwodzie* porannym wywołano dwu moich kolegów. Mnie, wbrew obawie, zawrócono z drogi do pracy.

– *Ja pozdrawlaju was, towarzysz*¹⁰⁷ – wołał ten i ów, gdy wychodziłem z *piatiorki*¹⁰⁸; upewniano mnie, że idę na wolność.

Odwiedziłem Staszka Pytlarza. Skierował mnie do *stałowej*, gdzie zastałem już dwu moich kolegów przy drugiej porcji owsianki. Po śniadaniu dostaliśmy jeszcze po kawałku chleba na drogę i 5 minut czasu „na przygotowanie się do podróży”. Czas ten spędziliśmy, naturalnie, na [s. 80] pożegnaniu się ze Staszkiem. Ten ukończył właśnie mycie podłogi i grzał wodę na piecyku. Ucieszył się nowiną i zaraz potem posmutniał.

– Teraz – mówił – zostanę tu sam, do śmierci. Zimy tej nie przetrzymam; zamiast do Polski, pojedę *za soppku*. Napiszcie do mnie *pismo*¹⁰⁹, jak dożyję, będę się bardzo cieszył.

Staszek ugościł nas jeszcze *kipiatokiem*, włożył do naszych torb po kawałku swojego chleba, którego nie zjadał.

– *Weźmijcie* – prosił – chleb przyda się w drodze.

Ucałowaliśmy się z nim i wyszliśmy szybko, bo *strietok* czekał już przy bramie. Na dziedzińcu stał, milcząc, naczelnik obozu, kosooki Tatar – Kakaulin. Nigdy nic nie mówił, wątpię zresztą, by głos ludzki w ogóle posiadał. [s. 81]

Przeszliśmy rzekę w bród, jak codziennie, lecz na drugim brzegu nie skręciliśmy, jak zwykle, w prawo. *Strietok* kazał iść prosto, na *Centralnyj*.

¹⁰⁷ Gratuluję towarzysz.

¹⁰⁸ Piątka; tu: piąta zona.

¹⁰⁹ List.

¹¹⁰ Maszyna parowa, nazwa od nazwiska W. Mołotowa, sowieckiego ministra spraw zagranicznych.

¹¹¹ Przędownicy.

¹¹² Stacja pomp.

¹¹³ *Pieriekur* – przerwa na papierosa.

¹¹⁴ Obóz przy kopalni złota.

¹¹⁵ Obóz przy kopalni ołowiu.

Nie mówiliśmy do siebie nic, bojąc się spłoszyć szczęście. Milczał również nasz konwojent, nie broniąc nam zrywania jagód, po których szliśmy. Spoglądaliśmy raz po raz na siebie, uśmiechając się po cichu; śmiać się głośno wypadało, ale zapomnieliśmy, jak to się robi.

W pewnym momencie ujrzeliśmy w oddali dym parowego *Mołotowca*¹¹⁰ i wszystkie brygady przy pracy. *Udarnicy*¹¹¹ Ejzela kopalni w *zaboju*, Andrejewa wozili taczki do bunkra, zaś nasi współtowarzysze z brygady Miroszniczenki byli *na baksach* i przenośnych *butarach*; ludzie Bakałowa robili *zaczystkę* oraz pompowali wodę na *wodokaczkach*¹¹². [s. 82]

– Dziś zapewne *pieriekurok*¹¹³ wykluczony – pomyśleliśmy – bo dyżur ma Lubicz...

Nagle jak na komendę odwróciliśmy głowy w stronę obozu, by raz ostatni popatrzeć nań, oczyma ludzi „wolnych”. U wejścia stał jeszcze ciągle, nieruchomo, patrząc w naszą stronę – on, Kakaulin. [s. 83]

Ojciec Łucjan

W mroźny wrześniowy wieczór przywieziono nas do Średniego Orotukanu. W barakach przejściowych było już więcej amnestionowanych Polaków. W zapadniętych i uśmiechniętych oczach ziomek czytaliśmy radość i coś więcej niż rzucane bezładnie słowa:

– Skąd przybywacie? My z Nieczajnego, a wy skąd? Przyjechaliśmy wczoraj z Doskanii¹¹⁴, również ze złota. My z Piatiletki¹¹⁵. My z ołowiu, my z wolframu. My...

Nastąpiły powitania ograniczające się do kilku słów, które miały wyrazić wszystko, co składało się na pojęcie szczęścia, braterstwa, miłości... [s. 84] Przeskakiwano z tematu na temat, by w krótkich słowach powiedzieć sobie wszystko. Już dawno nie płynął nam czas tak szybko, na miłej rozmowie, po polsku; mimo że byliśmy głodni, zapomnieliśmy o czekającym nas posiłku. Znajomi nie mogli się dość sobą nacieszyć.

Były i smutne wieści.

– Motulewicz zmarł¹¹⁶. Wiem. Zapalenie płuc.
 – Gryglewicz¹¹⁷ zmarł, wiesz?
 – Co mówisz, taki młody... Co mu było?
 – Postrzelony, zmarł w szpitalu.
 – A u nas zastrzelili Czernickiego¹¹⁸. Oddalił się z *zaboją*. Nie słyszeliście, gdzie Skórski¹¹⁹?
 – Nie. Palewicz¹²⁰ nie żyje. Kielanowski¹²¹ stracił oko. Z. złamał nogę.

– A Jarski? [s. 85]
 – Który, Adam¹²² czy Jan¹²³? Adam zmarł, leży na *drugiej Piatiletce*. A co ze starym Jarolinem¹²⁴?
 – Jest z nami, przyjechał z ołowiu, trzyma się dobrze. Przed chwilą go widziałem, gdzie wyszedł.
 – O, jest Dadak¹²⁵ – czołem!
 – Czołem!

Kazano nam iść na *użyn*¹²⁶.

Był śledź, chleb i gorąca woda. Jakże inaczej smakowała nam ta pierwsza kolacja ludzi wolnych! Posiłek trwał krótko. Wszyscy śpieszyli do baraku, by leżąc na narach, opowiadać sobie dalej. Miejsca było dużo, nie tak jak na *pryskach*¹²⁷. Gwar był i mimo zmęczenia spać nikt nie chciał. Mówiono o przeszłości; przyszłość była dla każdego jasna: wracamy do Władystoku¹²⁸, stamtąd mniejsza o to jak, ale do Polski! [s. 86]

Ciemno zrobiło się od palonej w gazecie machorki, której ten i ów miał sporo w woreczku. Częstoowano się nią obficie, zwłaszcza że mieliśmy dostawcę tego artykułu w osobie *batiara*¹²⁹ lwowskiego, Józka Krausa¹³⁰. Ten przez wszystkie przeciwności losu umiał przechodzić łatwo, jak żongler po linie. Nawet portfel miał nabity rublami, a opowiadał, w co zresztą nikt nie wierzył, że na kopalni złota nie pracował ani godziny, że na śniadanie pił białą kawę, a jadł tylko biały chleb lub bułki. Na potwierdzenie swoich słów obdarowywał ziomków obficie machorką, gazetą, chlebem i śledziami, które w tajemniczy sposób każdej chwili zdobywał. Koło niego to skupiła się najliczniejsza grupa słuchających z otwartymi gębami „wolnych obywateli”.

¹¹⁶ Osoba niezidentyfikowana.

¹¹⁷ Osoba niezidentyfikowana.

¹¹⁸ Osoba niezidentyfikowana, być może Edward Czernicki, ur. 1905.

¹¹⁹ Prawdopodobnie Stanisław Skórski, ur. 1883, major piechoty, sądzony w jednej sprawie z K. Żurawieckim oraz rodziną Podlewskich i skazany w tym samym czasie, zamordowany 26 VI 1941 r. w nieznanym miejscu.

¹²⁰ Informacja prawdopodobnie na jego temat: „Palewicz: zmarł na Kołymie we wrześniu 1940 r.” – zob. M. Giżejewska, *Polacy na Kołymie...*, *op. cit.*, s. 238.

¹²¹ Osoba niezidentyfikowana.

¹²² Osoba niezidentyfikowana.

¹²³ Informacja prawdopodobnie na jego temat: „Jarski Jan: ur. 1902, starszy sierżant, aresztowany w kwietniu 1940 r., Kołyma od stycznia 1941 do czerwca 1942 r.; obozy przy kopalni złota” – zob. M. Giżejewska, *Polacy na Kołymie...*, *op. cit.*, s. 234.

¹²⁴ W publikacji Ośrodka Karta, zatytułowanej *Alfabetyczny wykaz 5822 obywateli polskich aresztowanych przez NKWD w rejonie Lwowa i Drohobycza*, są wymienieni bracia Jarolinowie (Franciszek i Wilhelm), być może chodzi o któregoś z nich.

¹²⁵ Osoba niezidentyfikowana.

¹²⁶ Kolacja.

¹²⁷ Popr. *priisk* – kopalnia (metali szlachetnych lub drogich kamieni).

¹²⁸ Port nad Morzem Ochockim.

¹²⁹ Lwowski ulicznik.

¹³⁰ Osoba niezidentyfikowana.

¹³¹ Bernardyn, ur. 1910, po wyjściu z łagrów kapelan II Korpusu, po II wojnie światowej misjonarz w Anglii, Argentynie (rektor Polskiej Misji Katolickiej) i USA, zm. w 1991 r. w Chicago.

¹³² *Te Deum laudamus* (łac.) – *Ciebie, Boga, wysławiamy* – hymn modlitewny.

Jedynym człowiekiem niebiorącym udziału [s. 87] w głośnych rozmowach był siedzący przy piecu młody, lecz bardzo wynędzniały mężczyzna. Z twarzą stale uśmiechniętą dorzucał do ognia sosnowych heblówek i ogrzewał swe czarne spracowane ręce. Usiadłem obok niego na ławce i zapytałem:

– Dlaczego pan nie idzie spać?

Popatrzył na mnie, jakby mile zdziwiony, i odrzekł cicho, nieco trwożliwie:

– Szkoda czasu na sen... ja się tak cieszę!...

Porozumieliśmy się szybko. Był księdzem, z zakonu oo. bernardynów, ze Lwowa. Nazywał się Łucjan Łuszczki¹³¹. Mówił, że czuje się wprawdzie chorym, ale zdrowie powinno mu teraz szybko wrócić; zresztą żywi ufność w opiekę Matki Najświętszej. Już to nie po raz pierwszy w życiu doznał łaski wybawienia go z niebezpieczeństwa... [s. 88] Nagle wyprostował zgarbiony grzbiet, a słaby głos *dochodiagi* zabrzmiał nutą kazania.

Ojciec Łucjan mówił długo o Polsce, o opiece bożej nad nami i słuszności naszej sprawy, krzepiąc na duchu gromadzących się coraz liczniej koło blaszanego piecyka żołnierzy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i wlewając w ich serca otuchę. Już północ była nad Średnim Orotukanem, gdy usnęli strudzeni słuchacze, by jeszcze pod zamkniętymi powiekami widzieć zjawę, ubraną w liturgiczne szaty i stułę. Usnął też i kaznodzieja w fufajce, siedząc dalej, z czapką w rękę, obok swego piecyka-ambony. I stało się, że dym z machorki ustąpił zapachowi kadzidlancu... I słyszał ojciec Łucjan potężne *Te Deum*¹³² [s. 89] śpiewane przez chóry aniołów, które w tę błogą chwilę zstąpiły do nędznego baraku w Orotukanie.

Koniec.

BIBLIOGRAFIA

ŹRÓDŁA

Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, Dział Rękopisów,
kolekcja Kazimierza Zamorskiego, sygn. Akc. 105/1996/I/KZ/16.
Odpowiedź na ankietę „Złoto”.

Ginzburg E., *Stroma ściana*, Warszawa 2007.

*Aresztowani w rejonie Lwowa i Drohobycza. Alfabetyczny wykaz 5822
obywateli polskich aresztowanych przez NKWD w rejonie Lwowa
i Drohobycza*, Warszawa 1988.

Siemiński J., *Moja Kołyma*, Warszawa 1995.

OPRACOWANIA

Giżejewska M., *Polacy na Kołymie 1940–1943*, Warszawa 1997.

Zamorski K., Starzewski S., *Sprawiedliwość sowiecka*, Warszawa 1994.
